9144

III

Tłumaczenie z Fedry Racine'a
do przedstawienia Adr. Lecouvreur

Bogowie! przepaść przedemną straszliwa.
Mój mąż tu wraca, a z nim jego syn.
Widzę jak groźnym wzrokiem mię przeszywa.
Straszny ten wspólnik ciężkich moich win.
Będzie on śledzić mnie w obliczu świata.
Jadziem rodzica oczętem przyjść śmie:
Serce rozdarte – którem on pomiata,
Oko też pełne – co dlań wzgardą tchnie.
I czy przypuszczasz że choć tak łagodny,
Lecz tak drażliwy na rodzica cześć
Będzie mię szczędzić? – przebaczy niegodny.
Czyn – żem w dom ojca śmiała hańbę wnieść:
Czyż przezwyciężyć zdoła wstręt bez miary,
A choćby milczał – to żywot mi zbrzydł
Bom nie z tych kobiet bez czci i bez wiary,
Których już czoła nie rumieni wstyd.

Autogr.

A. Ancyc.
[Władysław Ludwik]

Dziwny sen miałem z wieczora —
Trwał jakby przez wieczność całą —
Tyś była falą jeziora,
Ja byłem nadbrzeżną skałą.

Nie żałowałem tej zmiany,
Żem skałą a nie człowiekiem,
Marzyłem, żem jest kochany,
A wiek przemijał za wiekiem.

Nie żałowałem, że głuchy
Głaz nic powiedzieć nie może,
Mówiły ze sobą duchy,
Jam widział niebo w jeziorze.

Tyś ciągle padała drżąca
Na moje piersi z granitu,
Złączona wśród lat tysiąca
Węzłami wspólnego bytu.

Kruszyłaś kamienne łono...
A jam się cieszył z zniszczenia,
Bo przeczuwałem spełnioną
Dolę zimnego kamienia.

Wiedziałem, że gdy do końca
Zamiary przywiedziesz zbrodnie —
Żegnając gwiazdy i słońca
[illegible] twoje sprawy.

Adam Asnyk

20.I.1872

3

LWÓW PLAC MARYACKI HOTEL GEORGE LEMBERG d. 20/9 77

~~24~~ ~~78~~

WŁADYSŁAW BEŁZA



KSIĘGARNIA. LIBRAIRIE

BUCHHANDLUNG

Pani

Helenie Modrzejewskiej

Jak biała gołębica leć mój listku biały,
I uszczknięty w ojczyźnie do wawrzynów chwały,
Ponieś Polskiej mistrzyni listeczek maleńki,
I hołdy serc rodackich i pokłon i dzięki;
Dzięki za te tryumfy których głośne echo
Tak silnie się odbiło pod ojczystą strzechą,
Taką dumą w ojczyźnie obdarzyły całej,
Jakby wszystkie tryumfy jej się należały.

Powiedz tej, która dzisiej gwiazdą swoją nową,
Sprzeczając się o podział dwie półkule zową,
Niech pamięta, że pierwsze jej blasków promienie,
Błysły, prawda, na biednej, lecz ojczystej scenie,
I że każdy jej tryumf i każdy laur świeży,
Nie do owych Yankesów lecz do nas należy.
Żeśmy dumni nią, – silni tej prawdy chryzmatem,
Że polska sztuka bierze zwycięstwo nad światem.
Gdy uczy zamorczyków Polka urodziwa,
Jak się z serc lodowatych skrę ognia dobywa.

Nadto, ponieś jej listku, przy bratnim podziwie
Tę pewność, którą wspólnie z gronem ziomków żywię
Że ujrzym Ją niedługo znów pełną natchnienia,
Bo wszak nas pożegnała tylko: „Do widzenia!"

Wł. Bełza

Ero cencioso, ero tapino
Ma mi dicevan: bel fanciullino.
Se non avevo che il pane a cena
Era il cor lieto, l'alma serena.
Mamma una fiaba mi raccontava
E mi baciava.
E sonni d'oro dormivo allor
Perchè tranquillo posava il cor.
Un dì la mamma stava piangente
Chè non aveva da darmi niente.
– Mamma, sta zitta, ti rasserena,
Dammi un tuo bacio, questa è mia cena
Mamma una fiaba mi raccontò
E mi baciò
E sonni d'oro dormivo allor
Perchè la pace era nel cor.
Era sul vespro, volgeva a sera
Un dei bei giorni di primavera.
Frammezzo a lieto stuolo beato,
Ischiamazzando, correvo il prato,
Il sole allora si nascondeva
E mi piaceva
E mi pareva d'essere un re
Perchè la pace era con me.
Dietro a farfalle che parea d'oro
Correa la turba gridando in coro.
Io pur correva, ma mi arrestai...
Oh! chi può dire quel che mirai...
Mi parve proprio un angiolella,
Tanto era bella.
Forte m'intesi battere il cor,
Conobbi allora che fosse amor.
Fui da quel giorno sempre pensoso
Perchè m'accorsi d'esser cencioso...
Mamma diceva: – figlio, che hai?
Qui, sul mio core, versa i tuoi guai,
Io sempre muto di tanto in tanto
Rompeva in pianto.
La prima volta che batte il cor,
Esce la pace, entra il dolor.
Oggi da tutti son riverito
Perchè di panno porto il vestito
Ma non ho madre che mi consoli,
Passo i miei giorni dolenti e soli
E la mia faccia ch'era sì bella
Non è più quella
E più non dormo siccome allor
Perchè tranquillo non posa il cor.

—

GALATI

101, avenue d'Eylau

Z ogrodu w Weronie, z miejsca gdzie znaleziono sarkofag Julietty.

Łaskawej i ukochanej Cioci
ośmiela się przesłać
wdzięczny autor

(Odbitka ze „Świata")

TRZY WIERSZE.

*

Biada tym ustom, które miłość kłamią,
Bo kiedy wstanie wiosenna i nowa
I wargi młode pocznie żądzą palić,
Nieskalanego nie odnajdą słowa,
Które się prosić umiało i żalić...
I więdnąc, będą czuć, że choć wre łono,
Już od nich inne wargi nie zapłoną,
Że niekłamaną boleść tylko splamią —
Nieszczęsne usta, które miłość kłamią.

Biada tym oczom, co na rozkaz płaczą,
Bo kiedy przyjdzie ból, co mózgi trawi
I może z piersi młodość wyssać zcicha,
Kamienna żałość, gdzie tylko płacz zbawi,
To łez kłamliwych krynica wysycha.
Jak u szaleńców, suche i ogromne,
W śmierć zapatrzone, dawno snu niepomne,
Błyszczą się głuchym strachem i rozpaczą —
Przeklęte oczy, co na rozkaz płaczą. [1])

[1]) Wiersz deklamowany przez p. Helenę Modrzejewską w Warszawie d. 26 lutego 1891 r.

*

Wiotka i drżąca, ukryta
Na dnie głębokiem mórz,
Piękniejsza róża wykwita
Od bladych ziemskich róż.

Rośnie przy ławie koralu,
Gdzie wieczna cisza i cień,
Gdzie ledwo blaskiem opalu,
Wschodzący znaczy się dzień.

Wie, że jej nigdy w głębinie
Słońca nie dojrzy wzrok,
Stroi się w tęcze, choć zginie
Spowita w wieczny mrok.

Nie ufa i nie czeka,
Lecz się ku światłu pnie...
Tak wschodzi w duszy człowieka
Miłość na zwątpień dnie.

*

4. VII. 90.

Wzięli ją z ziemi na ramiona
I w róże białe otulona,
Zakuta w trumnę ale dumna,
Bo jej nie mogła objąć trumna
Szła pieśń.

Poczęli za nią płakać młodzi,
Że im się taka pieśń nie rodzi,
Że ją ujrzeli cichą w trumnie,
Gdy pośród starców zbiegłych tłumnie
Szła pieśń.

Przeszedł po ludziach szał oręża,
Bo ta co walczy i zwycięża,
Ta, która umie kiedy w truny
Olbrzymów złożą, rwać całuny,
Szła pieśń.

Nieśli ją w ciszy i w żałobie,
Lecz nie złożyli pieśni w grobie,
Bo w białych zwojach, w róż koronie,
Aby z królami być na tronie,
Szła pieśń.

K. M. GÓRSKI.

Kosio Górski z powodu [illegible] mego.

H. M.

Za to, że w czasów smutku i posusze
Młody mi ranek rzuciłaś na duszę,
Brzask, który odtąd musi walczyć z nocą,
Że jesteś marom dziecinnym pomocą,
Gdy chcą powrócić w grób ludzkiego łona:
Bądź pozdrowiona i błogosławiona.

Nie dziw się, jeśli pod kraj Twojej szaty
Jeszcze niklejsze od słów rzucam kwiaty
Bo wobec Twojej duszy one jedne
Są mi dość wonne, młode i bezwiedne,
A choć u stóp Twych woń ich prędko skona,
Ty wiesz, że będziesz mi błogosławiona.

I Nawpół prozą.

Chciałbym mieć kiedy jaki domek mały
Domek przedmiejski, z wielkim dachem, biały.
Rosłyby rzędem na ulicy drzewa,
Lipy i brzozy, w których szczygieł śpiewa,
Rosłyby blisko, ażebym okienko
Otwartszy, liści mógł dostawać ręką.
bym wiosenną zbudziwszy się nocą
Słyszał, jak wróble ruchawe świegocą.
Aby mi słowik, gość rzadki i czczony,
Z wieczora, w maju, sypał szklanne tony.

I w sieni na tle czerwonej kotary
Stawiłbym odlew jakiejś rzeźby starej,
Jakie florenckie popiersie kobiety,
Lub Maryę Pannę u świętej Elżbiety
Andrzeja della Robbia.

Żadnych gratów,

Chińszczyzn, figurek saskich.... Dużo kwiatów,
Sztychów i w ciemno obitym salonie,
Gdzie jak z kadzielnic bladych, płyną wonie
Mistyczne z hyacyntów, jeden wielki
Obraz. Wieczorem ostatnie kropelki
Światła, gdy ciemność chłonie zorzę krasną,
Na złocie ramy płonią się i gasną.
A przez tę ramę patrzy się w daleką
Jakąś krainę, gdzie błękitną rzeką
Wśród wzgórz sinawych ciche wody cieką.

Tam za kwiatami byłby jeszcze kątek
Dla rozmów cichych, marzeń i pamiątek.
Tam w szczerych zwierzeń bezpowrotnej chwili
– Jak się płacząca wierzba do wód chyli –
Dusza w przezroczu duszy się przegląda.
I tam już serce niczego nie żąda
Chyba muzyki, więc gdy śnieg przytłumi

Gwar ulic, wicher po kominach szumi,
Ażeby trwogę rozpędzić i ciszę.
Niech kto położy ręce na klawisze
I niech popłynie jak rzeka wezbrana
Łzami, do słów Heinego śpiew Szumana.
Pieśń o wędrowcu, co lądy i morze
Przebiegł a szczęścia napotkać nie może,
Chopina prélude siódmy, jaki zwinny
Menuet Haydn'a, lekki i dziecinny,
Lub gdy niebiańskich ukojeń się szuka
Arya z Rinalda i Orfeusz Gluck'a.

I dużo ciszy, pracy i spokoju.....
Porozrzucane kartki po pokoju,
Na półkach książki – najwięcej poetów –,
Pód infoliami zaczętych sonetów
Trochę: najlepsze te co się nie kończą
Jedno warg rymem, gdy się cicho złączą....

Na ścianie jasnej dookoła wszyscy,
Którzy mi drodzy bywali i bliscy
I choć ich dawno, dawno tutaj niéma,
Wciąż błogosławią z ramy mi oczyma.

I trochę wiary w siebie, trochę siły,
By módz obronić taki kątek miły,
Trochę nadziei i otuchy miękkiej,
Że troski przejdą, że przetrwa się klęski.
I oczu jakich zaufanych dwoje,
Oczu kobiecych, jasnych jako zdroje,
Oczu, co lśnią się urocze — i moje,
I im świat więcej szarpie i zazdrości,
Tem więcej wiary mają i miłości.

Miłość, co dzieciom ziemi się uśmiécha
Wszystkim, nie będzież nigdy dla mnie cicha?
Nim się pod grobu ciężki głaz położę,

(Na wpół prozą, ciąg dalszy).

Nigdyż spokoju nie mam zaznać, Boże?

Kiedy zielone morze się układa
W wieczór, mew szarych ciągną grońne stada
I w wielkiem niebie ponad wielką falą
Do swych ustroni spieszą się i żalą,
Że im daleko, skarżąc się w swej mowie.

I jako huczna piana na ostrowie,
Rośnie mi smutek w godzinę powrotów,
Gdy ponad głową usłyszę szum lotów
A duch się pyta, do jakiego brzegu
Pójdzie poszukać, jak mewy, noclegu.

II. Pożegnanie.

Więc znów mi trzeba światem gonić
O pamięć prosić, dłonie ściskać,
I serca w żalach nie roztrwonić
I twarzą zawsze jedną błyskać
    I kiedy nowe życie opęta,
    Przyniesie nowy trud godzina,
    Jak żyć z tem sercem, co pamięta,
    Jak ktoś co sercem zapomina.
I widzieć co dnia, gdy z wieczora
Wejdą mi gwiazdy wspomnień blade,
Że już na zawsze znikło wczora
I że w nieznane jutro jadę.
    A choć się wie, że czucia gasną*
    Po sercach, w zmiennej dnia kolei,
    Wierzyć w ich stałość jak we własną,
    Oburącz chwytać się nadziei.

III. Spokojność.

Zbudzić się, zerwać, uchylić firanek,
Wyjrzeć w kwietniowy, błękitny poranek,
Gdzie tylko wierzby na toń niebios bladą
Fioletową sieć gałązek kładą....
Obejść kasztany, których pąki lśniące
Nowymi boki łowią chciwie słońce
I główki śmiało w przestrzeń prą błękitną,
Czując, że jutro w śnieżną kiść zakwitną....

Chodzić po słońcu – powoli – jak we śnie
Wokoło sadu, gdzie kwitną czereśnie
U węgła domu przystanąć, posłuchać,
Bo już gołębie zaczynają gruchać.
I wilga gwiżdże w południe nad sadem,
Gdy owad w trawie goni się z owadem.
A w wieczór kiedy gwiazdy wyjdą z toni
Błękitnej, słowik pieśń swą pierwną dzwoni,

Dziwiąc się smukłej, księżycowej łodzi,
Co z białem skrzydłem na ocean wschodzi.

Słuchać tej pieśni, która pierś rozpiera
Ogromnej ziemi i w niebie zamiera,
Ginąć w tej woni sadów i w błękicie,
Pić to wokoło budzące się życie
I czuć z wszechświatem, nie pragnąc dla siebie
Serca na ziemi ni gwiazdy na niebie,
Nic nie zamarzyć, nie kochać, nie żądać
W przeszłość się tęsknem okiem nie oglądać
Ani nie czekać, czy z tą nową wiosną
Z mogił zaklętych niezabudki wzrosną
I ufać tylko, że gdy płomyk zgaśnie,
Serce na wieczność – jak na zimę – zaśnie.

I

Venus Victrix

Błądzę po salach sam. W galeryi mrok zapada,
W pośrodku krwawych zórz umiera znowu dzień
[illegible] nóg a [illegible] gromada
~~Wum~~ [illegible] świata w cień.

[illegible], białe szaty
I [illegible] mrok na ich [illegible],
[illegible] w ciemnem tle komnaty
[illegible] greckich [illegible]

[illegible] do upragnionej [illegible],
[illegible] bóg [illegible] cokół swój.
I ambrozyjskie znów [illegible] ~~[illegible]~~ [illegible]
A [illegible] w [illegible] bój.

/.

I zda się, bogi już zaczęły uczty swoje,
Bo w ciszy świętej drga jakby stu lutni szum...
Wtem — u bogini stóp — ozwie się głosów dwoje:
Był to miłosny szept... Ocknął się niebian tłum —

I wszczął się wielki gwar. Demeter głośno pyta,
Kto się do łaźni jej, kto do Eleuzis wkradł?
Jedna Melijska [illegible] z uśmiechem Afrodyta,
Że tych kochanków zna od trzech tysięcy lat.

II

Potrzeba dużo boleć nim się zrodzi
Piosenka, co ranę serca ułagodzi,

Kochając, długo wątpić, nim się zoczy,
Że miłość drogie rozelśniła oczy,

Nieraz się zrywać i upadać boleśnie,
Nim stanie pomnik, widywany we śnie....

I trzeba wielu ofiar, by zostawić
Smutek po sobie, albo imię wsławić —

I konać trzeba ciężko i rozpacznie,
Że nim się spokój wiekuisty zacznie.

I nieraz walkę z życiem tocząc ciemną,
Trzeba do końca cierpieć — nadaremno.

III.

Idę nad morzem, co nieukojone,
Posłuszne tchnieniom złotego miesiąca,
Wiecznie pierś swoją rzuca w jedną stronę
W brzeg jeden roztrąca.

I choć przychodzi taki czas, że nocą,
Na nowiu, księżyc pozbędzie promieni,
Tak samo fale się próżno szamocą
A księżyc w górze się mieni.

I żal mój koi ta ciągła wód praca
I chcę być jako fala niewiedząca,
Co w głąb się wiecznie cofa i powraca,
Posłuszna tchnieniom miesiąca.

IV.

Jesienne popołudnia kładą
Na przestwór naszych pól i sadów
Jasność różaną ale bladą:—
Mnie chłodno.

Drzewa się smutnie mienią w złoto
I w czerwień strojąc różnorodną,
Patrzą na własny kwiat z tęsknotą:—
Mnie chłodno.

Wśród wiech tam się mylą straże,
Gdy inne gwiazdy w noc wschodzą,
Że przyszedł koniec na dni nasze:—
Mnie chłodno.

VII

Biada tym ustom, które miłość kłamią,
Bo kiedy wstanie wiosenna i nowa
I pocznie wargi młode żądzą palić,
Nieskalanego nie wydźwigną słowa,
Które się prosić umiało i żalić
I więdnąc, będą czuć, że choć we łono,
Już od nich inne wargi nie zapłoną,
Że niekłamaną miłość tylko splamią —
Nieszczęsne usta, które miłość kłamią.

Biada tym oczom, co na rozkaz płaczą,
Bo kiedy przyjdzie ból, co mózgi trawi
I może z piersi młodość wyssać z cicha,
Kamienna żałość gdzie tylko płacz zbawi;
To też kłamliwych źrenica wysycha.
Jak u szaleńców suche i ogromne,
W śmierć zapatrzone, dawno snu niepomne,
Błyszczą się głuchym strachem i rozpaczą,
Przeklęte oczy, co na rozkaz płaczą.

VI.

Zbudzić się, zerwać, uchylić firanek,
Wyjrzeć w kwietniowy błękitny poranek,
Gdzie tylko brzozy na niebios toń bladą
Fioletową sieć gałązek kładą.....
Obejść kasztany, których pąki, lśniące
Nowymi soki, łowią chciwie słońce
I [illegible] główki śmiało w przestrzeń prą błękitną,
Czując, że jutro w śnieżną kiść zakwitną.....
Chodzić po słońcu, powoli, jak we śnie
Wokoło sadu, gdzie kwitną czereśnie,
U węgła domu przystanąć, posłuchać,
Bo już gołębie zaczynają gruchać
I wilga gwiżdże w południe, nad sadem,
Gdy owad w trawie goni się z owadem.
A w wieczór, kiedy gwiazdy wyjdą z toni
Błękitnej, słowik pieśń swą pierwszą dzwoni,

Dziwiąc się smukłej, księżycowej łodzi,
Co z złotym żaglem na ocean wschodzi.

Słuchać tej pieśni, która pierś rozpiera
Ogromnej ziemi i w niebie zamiera,
Ginąć w tej woni sadów i w błękicie,
Pić to wokoło budzące się życie
I czuć z wszechświatem; nie pragnąc dla siebie
Serca na ziemi ni gwiazdy na niebie,
Nic nie zamarzyć, nie kochać, nie żądać,
W przeszłość się tęsknem okiem nie oglądać,
Ani nie czekać, czy z tą nową wiosną
Z mogił zaklętych niezabudki wzrosną
I ufać tylko, że gdy płomyk zgaśnie,
Serce na wieczność, jak na zimę, zaśnie...

VIII. Nawpół prozą.

Chciałbym mieć sobie, jak domek mały,
Domek przedmiejski, z gościnnym gankiem, biały.
Rosłyby rzędem na ulicy drzewa,
Lipy i brzozy, w których szczygieł śpiewa,
Rosłyby blisko, ażebym okienko
Otwarłszy, liści mógł dostawać ręką,
Abym wiosenną zbudziwszy się nocą,
Słyszał, jak wróble rozmarzone świegocą,
Aby mi słowik, gość rzadki i czczony,
Z wieczora, w maju, rzucał szklanne tony.
I w sieni na tle czerwonej ściany
Stawiłbym odlew jakiej rzeźby starej,
Jakie florenckie popiersie kobiety
Lub Maryę Pannę u świętej Elżbiety
Andrzeja della Robbia....
Żadnych gratów,
Chińszczyzn, figurek saskich,.... Dużo kwiatów,
Sztychów i w ciemno obitym salonie,

Gdzie, jak z kadzielnic bladych, płyną wonie
Mistyczne z hyacyntów jeden wielki
Obraz. Wieczorem ostatnie kropelki
Światła, gdy ciemność chłonie zorzę krasną
Na złocie ramy płoną się i gasną.
A przez tę ramę patrzy się w daleką
Jakąś krainę, gdzie błękitną rzeką
Wśród wzgórz sinawych ciche wody cieką.
Tam za kwiatami byłby jeszcze kątek
Dla rozmów cichych, zwierzeń i pamiątek
Tam w szczerych zwierzeń bezpowrotnej chwili,—
Jak się płacząca wierzba do wód chyli—
Dusza w przezroczu duszy się przegląda
I tam już serce niczego nie żąda,
Chyba muzyki; więc gdy śnieg przytłumi
Gwar ulic, wicher po kominach szumi
Ażeby trwogę rozpędzić i ciszę,
Niech kto położy ręce na klawisze
I niech popłynie, jak rzeka wezbrana

Łzami, do słów Heinégo pieśń Schumanna,
Pieśń o wędrowcu, co lądy i morze
Przebiegł, a szczęścia napotkać nie może,
Chopina prélude siódmy, jaki zwinny
Menuet Haydna, lekki i dziecinny.
Lub, gdy niebiańskich ukojeń się szuka,
Arya z Rinalda i Orfeusz Glucka.

I dużo ciszy, pracy i spokoju...
Porozrzucane kartki po pokoju,
Na półkach książki - najwięcej poetów -
Pod infoliami zaczętych sonetów
Trochę: najlepsze te, co się nie kończą,
Jedno warg rymem, gdy się cicho złączą...
Na ścianie jasnej dookoła wszyscy,
Którzy mi drodzy bywali i bliscy
I choć ich dawno, dawno usta nieme,
Wciąż błogosławią pracy mej - oczyma.

I trochę wiary w siebie, trochę siły,
By módz obronić taki kątek miły,
Trochę nadziei i otuchy męskiej,
Że troski miną, że przetrwa się klęski.
I oczu jakichś zaufanych [illegible].
Kobiecych oczu, przeczystych, jak zdroje,
Oczu co lśnią się wiecznie — i moje.
A im świat więcej szarpie i zazdrości,
Tem więcej wiary mają i miłości.

Miłości, co dzieciom ziemi się uśmiecha
Wszystkim, nie będzież nigdy dla mnie cicha?
Nim się pod grobu ciężki głaz położę,
Nigdyż spokoju nie mam zaznać, Boże?
Gdy zielone morze się układa
W wieczór, mew szarych ciągną głośne stada
I w wielkiem niebie ponad wielką falą
Do swych ustroni spieszą się i żalą,

Że im daleko, skarżąc się w swej mowie.

I jako tłuczna piana na ostrowie,
Rośnie mi smutek w godzinę powrotów,
Gdy ponad głową usłyszę szum lotów
A duch się pyta, do jakiego brzegu
Gdzie poszukać, jak mewa noclegu.

Wspomnienie szkolne

Pani Helenie Modrzejewskiej:

Byłem wtenczas w Sekundzie. W studenckie zacisze
Wrzuciła stara baba niebieskie afisze.
Litery wielkie, widne na dystans daleki
Dziś z córką Kapuleta – umrze tam Monteki.
W teatrze dla młodzieży biesiada prawdziwa
Jako Julja wystąpi Modrzejewska Diva,
Kapczińskiemu zaś przypadł Lorenz w rewerendzie,
Romeo Żadnowskiemu, a Merkucijo Bendzie;
Ekerowej, co burzą trzepie jak przekupka –
Przeznaczył rolę Marty pan baron Skorupka.
(Byłbym pobiegł i kupił, przyznaję się szczerze,
Za półtora złotego miejsce na parterze
Lecz zwyczajnie u młodych – chęć możność przesięga,
A za cały majątek nie miałem feniga.
Spadłem z szczytu uniesień, do rozpaczy szczytu,
Gdyż u pana Cypcera nie miałem kredytu.
Rezygnacya! Ten wyraz starszym tylko znany
Nie chce o nim nic wiedzieć umysł młodociany!
Pragnę zdobyć potrzebne na bilet pieniążki
Więc przeszukam ubrania i przeglądam książki,
Czyby czasem nie można w nich znaleźć ratunku
Lecz wszystko lub potrzebne, albo w złym gatunku;
Nie mogąc za nie ceny biletu osiągnąć
Chciałem u mojej babki pożyczkę zaciągnąć –

Mieszkałem właśnie u niej. Zachodzę z daleka,
Ale z oczu poznałem, że mnie zawód czeka.
„Uczyć już ci się nie chce, nie od dziś ja patrzę
Że książki zaniedbujesz, myślisz o teatrze.
Zawsze w smutnych marzeniach, niby poetyki,
A wczoraj pan profesor mówił Jakowicki
Że promocyi nie będzie, że się kiepsko uczysz,
Że w szkole nie uważasz x po mieście się włóczysz."
~~Nam~~ Tu podano wieczerzę. Nie jadłem kotleta
Lecz myślałem o pięknej córce Kapuleta.
I nie mógłem już wcale tej myśli odegnać
Dziś jeszcze Modrzejewską ujrzeć i pożegnać!
Tymczasem z kotletami zniknęły półmiski,
A wniesiono okrągłe, dymiące sosyski.
Był w Poznaniu w maleńkiej, ciemnej kamienicy
Na skrzywionej i ciasnej Wrocławskiej ulicy
Jakiś Niemiec, co robił te przekąski skromne,
Szkoda, jego nazwiska już więcej nie pomnę.
Dziś Zakrzewicz bijący okazowe wieprze
Robi pewno sosyski niż ów Niemiec lepsze.
Bez musztardy nie dobre, bez świeżego chleba,
A także na gorąco spożyć je potrzeba.
Właśnie brakło musztardy. A więc szybko po nią
Niech młode wnuka nogi bez zwłoki pogonią.
Babka daje dwa złote, chwytam je w uściski
I zostawiam niebawem babkę i sosyski,
Biegnę nie po musztardę, lecz w teatru progi.
Niepomny że to dla mnie wydatek za drogi,

Że mnie zawsze rozbawi Pani Modrzejewska —
Siedem smacznych windbeutli, jednego Kongreska,
I że babki uwaga całkiem była słuszna,
Że na naszym parterre atmosfera duszna,
Że chcąc patrzeć na scenę i sali kagańce
Nadepną ci na nogi, w bok dadzą szturchańce,
Ja byłem w siódmym niebie, gdym w roli Kochanki
Podziwiał wdzięk i geniusz poezyi Kapłanki.

A jednak wyznać muszę, choćby to boleśnie,
Żem Henrykę Bendówną kochał równocześnie.
Lecz to zmienność nie była i nie moja wina
Serce próżnować nie chce, gdy budzić zaczyna. —
Nie każdego wieczoru Diva jest na scenie
Zatem, gdy jej nie było ubóstwiałem Henię!

Raz na Bendy benefis — pamiętam Niedziela —
Przedstawiano Schillera cudny dramat. Tella.
W nim jakby na przekorę — lub ironią dziką
Wystąpiły obiedwie: Helena z Henryką.
Helena czy z umysłu, czy z jakiejś swawoli
Całowała Henrykę — choć nie było w roli.
Poznania! okolico! I ty, świecie stary
Nigdy się nie spotkały ust piękniejszych pary!
Ja nie wiem cobym wolał, gdybym mógł wybierać
Heni dawać całusy, czy za nią odbierać?

O trudno zdobyć miejsce na ciasnym parterre,
Gdy się dwustu młodzieży zapalczywej zbierze.
Gdy się ścisną w szeregi silne, jednolite,
A trudniej jeszcze pono utrzymać zdobyte!

Przed zaczęciem teatru, długi dwie godziny
Już parter zapełniają studentów czupryny.
Serce bije jak młotem, wzrok w scenę zwrócony,
Rychło dzwonkiem Boguśki da znak upragniony.
Tak w lesie, gdy myśliwy wypatruje oczy,
Rychło łania prześliczna na strzał mu wyskoczy,
Już ogar gra nad uchem, już gałęź szeleszcze
Słychać w koło zwierzynę lecz nie widać jeszcze.
Ktoby chciał Modrzejewską pod niebo wynosić
Równieby jasność słońca dziennego mógł głosić!
A jednak gdyby Szekspir zimny grób porzucił
I ujrzał ją na scenie, onby się zasmucił.
Gdyby widział jak inni odgrywają mizernie
Ona jedna uczucia i myśl odda wiernie,
Ona jedna co cienia żadnego nie minie
I stoi z nim porówno w geniuszu wyżynie,
Jak mistrz muzyk, gdy zagra dzieło artystyczne
Martwe znaki przetwarza w melodje prześliczne,
Struny smyczkiem porusza i wszystko zagłusza
Drżą skrzypce, drży artysta, drga słuchaczów dusza,
Słuch pobił wszystkie zmysły i rozum wygania,
Tu równy z mistrzem twórcą — jest mistrz wykonania.
Tak ona myśl Szekspira odda znakomicie —
On daje tylko słowa — ona stroi w życie.
Gdyby Szekspir ją ujrzał, i poznał zalety —
On, co nigdy nie widział na scenie kobiety,
Gdyby widział w konaniu Julję idealną,
Obłąkaną Ofelję i Makbeth fatalną

Onby pragnął, by każdy z aktorów na scenie
W głębokich jego dziełach, dorównał Helenie,
Lecz że to jest ideał w świecie nie doścignięty,
Wróciłby tem smutniejszy w grób zimny, ostygły,
Do popiołów nicości, do podziemnych chłodów,
Gdzie nie ma żądz i pragnień i nie ma zawodów.
Lecz pierwej złożył pokłon i myślą i głową
Fenix wszystkich poetów, przed sztuki królową. —
Na zdobytem więc miejscu miałem sny urocze
Słuchałem dźwięku głosu, wielbiłem warkocze,
Aż skończył się akt piąty i wyszedłem z gmachu
I pozbyłem marzenia, a nabyłem strachu.
W kamienicy Danyerów, na małych Garbarach
Czekała na musztardę babka w okularach.
Sosyski jeszcze stały, zimne, pomarszczone
Lecz bardziej było czoło babki nasrożone.
„Bogu dzięki, żeś przyszedł, doczekałam ptaszka"
I parą gniewnych oczu błysnęła z pod daszka.
„Jesteś nicpoń i urwisz, spojrzenie masz harde,
Nie myśl że cię raz jeszcze poślę po musztardę.
Takie smaczne kiełbaski i takie gorące,
Doprawdy całą stratę z pensyi ci potrącę."
Gdym wysłuchał całego przygan kołowrotka,
Całuję babki rękę oddając półzłotka,
I przyrzeczeń poprawy takżem nie poskąpił,
Aż na gniewną twarz babki - miły uśmiech wstąpił.
„Dobrze że już wyjechała komedyantów chmara,
Bierz teraz twoją pensyę, na miesiąc talara.

A coś winien daruję, jeśli odtąd skromnie
Nim na miasto wybiegniesz – spytać przyjdziesz do mnie.
Była środa. Więc szkoły nie ma po obiedzie
Mnie talar niepoczciwy znów na miasto wiedzie.
Chciałem idąc przez Rynek wstąpić do Pfitznera,
Ale często profesor pan Szulc tam zaziera,
A także pan Wituski ze strasznym pierwiastkiem,
Więc trzeba u innego uraczyć się ciastkiem,
Nie chcąc mieć profesora nieprzyjemnym świadkiem.
W tem kolega Antoni spotkany przypadkiem ×
Rzekł, że mogę z talara – lepszy mieć użytek
Kupując u starej włosów żywy zwitek.
Serce mocniej zabiło! Niespokojny spieszę
Do tej co wonne włosy Dnia każdego czesze.
Właśniem trafił szczęśliwie. Baba tłusta stara,
Z jednym zębem, zepsutym – istotna maszkara,
W izbie brudnej i dymnej, z garnkami na półce
Sprzedała zwitek włosów w cieniutkiej bibułce.
Zbiegłem szybko po schodach. Krzyknąłem „Victoria"
Choć mię wodą oblały brzydkie akcesorya,
Alem włosy miał w ręku, te włosy kochane,
Które dzisiaj zdobiły jej czoło świetlane!
Ktoby wtenczas te włosy chciał kupić odemnie,
Mógłby świat cały, wielki× oddawać daremnie!
Schowałem w medalionik, na sercu umieścił
I sto razy na dobę całował i pieścił!
Ach! tak byłem szczęśliwy! całe dwa tygodnie!
Aż mię któryś kolega przekonał dowodnie,

Że Diva nie widziała tej baby na oczy,
A ta włosy sprzedała z swych własnych warkoczy.
Fe! ta baba szczerbata, sporna i tłusta
Ile razy przypomnę to ocieram usta!

Detroit Mich. w Styczniu 1893 r.

Józef Tówiecki





Paní Heleně Modrzejewské.

Jde ve svět umění a zázrak Váš jde před ním:
tu něhu nejvyšší, jak staletí ji snila,
Jste v ryzí ženskosti, ó Paní, vyslovila
svým vzdechem jediným a pohledem svým jedním.

Svět klesá v propasti a shonem zmírá všedním —
však nad tou všedností je Vaše bytost bílá,
v ní božství s titánstvím a s něhou září síla,
jež lidstvo obrodí i hrobem nad posledním.

My často zoufali, že bídní jsme a malí,
že doba nynější je únavou a spleenem,
kde hesla proroků se v tmu a prázdno valí.

A přece velkou je a božství hledí na ni,
svit věčné veleby jde němým jejím stínem —
neb ona zrodila Vás, nesmrtelná Paní!

V Praze, 17. dubna 1891.

Jaroslav Kvapil

Nokturn.

Księżyc sunął swoją srebrną gondolę
Wśród szafirów otchłani,
Rozjaśniony przez Twe oczy sokole,
Co go wiodły, niby tęskne pacholę,
Do marzenia przystani....

Tyś marzyła znać pogodnie, różowo,
Bo błękity i ziemię
Zalegała cisza, wielka jak słowo;
Które nocy być kazało królową
W gwiazd promiennym djademie....

Chwilę dumań Twoich wielbiąc świat cały
Wstrzymał oddech w pokorze...
Ucichły wiatry - gaje śniły w mgle białej -
Wszystkie ruchy, wszystkie głosy czekały
Na Twój uśmiech - na zorzę....

Czasem tylko błyskawicy ptak blady
Przebiegł rajskie ogrody,
Wyprawiony przez aniołów na zwiady:
Czy Ci w sercu nie przynosi kto zdrady?
I nikt z wróżbą pogody...

Byłże gdzie dźwięk taką pyszny osnową,
By świat musnąć Twe uszy?
Drgnąłem... Lecz Ty śniłaś nadal różowo,
W takiej ciszy - żem ja za grom wziął słowo
Drżące szeptem w mej duszy....

Wacław Szymanowski

1876.

Księżyc sunął swoją srebrną gondolę
Wśród szafirów otchłani,
Rozjaśniony przez Twe oczy sokole,
Co go wiodły, niby tęskne pachołę,
Do marzenia przystani.

Tyś marzyła znać pogodnie, różowo,
Bo błękity i ziemię
Zalegała cisza, wielka jak Słowo,
Które nocy być kazało królową
W gwiazd promiennym djademie.

Chwilę dumań Twoich wielbiąc świat cały
Wstrzymał oddech w pokorze...
Zamilkły wiatry - gaje śniły w mgle białej,
Wszystkie ruchy, wszystkie głosy czekały
Na Twój uśmiech - na zorzę...

Czasem tylko błyskawicy ptak blady
Przebiegł rajskie ogrody,
Wyprawiony przez aniołów na zwiady:
Czy Ci w sercu nie przynosi kto zdrady? -
I nikt z wróżbą pogody..

Byłże gdzie dźwięk taką ~~—~~ pyszny osnową
By świat musnąć Twe uszy?...
Drżałem... Lecz Ty... śniłaś nadal różowo
W takiej ciszy, żem ja za grom wziął słowo
Uwielbienia mej duszy.

Wacław [illegible]

1876.

Dzień i noc.

Kiedy mi serce radośnie bije
Źrenica pała szczęścia promieniem,
Gdy dusza balsam pociechy pije
Zmęczona długich smutków istnieniem, –
Z radością widzę ten dzionek biały,
Słyszę śpiew ptasząt i flet pastuszy...
Zda mi się rajem świat boży cały...
I wszystkiej szczęścia użyłbym mocy
By dnia nie puszczać w objęcia nocy –
Bo dzień w mej duszy!

Lecz kiedy smutki serce zakrwawią,
Troska wykwitnie blado na twarzy,
Gdy się źrenice obie załzawią
I zimna bólu uczucia zważy –
Smuci mnie każdy słońca promyczek,
Bo promień szczęścia zagasł nademną...
Wszystko mnie smuci: słowik, strumyczek –
I wszystkiej bólów użyłbym mocy
Aby dzień cisnąć w objęcia nocy –
Bo w duszy ciemno!

Wacław Pomian

Wstawaj słonko!

Wstawaj słonko złotowłose!
Z tobą dzień w mej duszy wstaje!
Nim wypijesz z kwiatów rosę,
Nim rozbudzisz senne gaje
I doliny i ruczaje –
Moja dusza hymn ci daje!
Wstawaj słonko złotowłose!
Ze skowronkiem pieśń ci niosę!
Już twój zwiastun, świt różowy,
Strzaskał czarnej mgły okowy,
Jak w mej duszy świt nadziei
Rozwie pęta złych kolei..
Wstawaj słonko! Świt różowy
Zbudził lilie do rozmowy
I odchylił róż kielichy
By ci hymn szeptały cichy
Ptaszek zerwał się z pościeli
Trzepoce się i weseli,
Czeka, rychło promyk strzeli,
Do słonecznej drży kąpieli...
Pod błękitnym nieba dzwonem
Z sercem pieśnią nastrojonem
Czekam na cię, wstawaj słońce!

Świadczę, że w jasnym świata dzwonie,
Z gorejącą pieśnią w tonie
Chcę być sercem, do serc dzwonię!
Zaśpiewałem... piosnka tonie...
Płyną, i grają tony drżące
I zamilkły... znikąd echa!
Witawaj słonko! tyś pociecha!
Pierwszym blaskiem na podzięce
Olśnij pieśnię i piosenkę!

Wacław Lemian

Róża.

W zaklętém kole swéj własnéj woni
Samotna róża, dziecię ustroni,
Pełnią dziewiczéj krasy przepychu
Płonęła, z kroplą rosy w kielichu,
Jak miłość, kiedy łzę szczęścia roni.
Jutrznia, gwiazd róża, po brzasku chwili
W niéj odkwitała; orszak motyli
Na pierś jéj wachlarz skrzydeł kładł złoty,
A gdy ją słowik wiódł w raj tęsknoty
Lilje aniołów nie śniły miléj.
I lśniąc barwami coraz żywszemi
Róża, bez wiedzy że gad się plemi,
Że być za szczęście wdzięczną potrzeba;—
Dla ziemi - była uśmiechem nieba,
Dla niebios - uśmiechem ziemi.
Lecz gdy sierpniowe nadeszły skwary,
Gdy ogień z nieba padł na obszary:
Pobladły nagle różane chwile...
Odarta z blasku, w tumanu pyle
Królowa, poszła między ofiary.

Żar jéj wypalił plamę na czole...
I nie płakały na jéj niedolę
Ni srebrny obłok ni wonna rosa...
Jednem się słońcem złoty niebiosa,
Róża, łzą krwawą na łez padole.

Smutna, dotknięta grotem cierpienia
Kochanka słońca gasła bez cienia...
Lecz duszą całą w lazuru wstędze
Ze wspomnień snuła nadziei przędzę, –
I to chroniło ją od zwątpienia.

Aż minął spieki czas. Na błękicie
Zapłonął, w sinych błyskawic świcie,
Obwołan ciszą, majestat burzy....
Wówczas w otchłanie płynął szept róży:
„Witaj o! straszna! w tobie jest życie!

I przeszła burza gromów koleją...
Świat cały odżył... łany się śmieją...
A róża?
Z kroplą deszczu śród łona
Z łodygi wątłej wichrem strącona
Umarła... z życia nadzieją.....

Z jesiennych pieśni.

„Jak smutno dokoła! jak tęskno dokoła!"
Wiatr świszcze te słowa i serce je woła.
Posępne strumienie dźwiękami ich płaczą
I liście pożółkłe na piasku je znaczą..
To jesień! to jesień! - Patrz, w świata źrenicy
Zamglonej, łza błyszczy żałosnej tęsknicy
A świat jej niemoże uronić... Niech czeka!
Łzę wiosna osuszy, choć wiosna... daleka.
Przyroda niedawno tak świeża... dziś, kona...
Dopiero dziewica różami wieńczona
Dziś w szatach spłowiałych - mdlejąca, na schyłku
Astrami skroń zdobi w ostatnim wysiłku.
A róże? - Spójrz, stoją bezlistne ich pręty
Patrzące na kwiatów opadłych korale..
- Jak sterczą masztami strzaskane okręty,
Gdy wokoło krwią ofiar rumienią się fale...
Przyrodo o biada! Już spowił się szary
Mglisty całun... szkielety drzew niosą na mary,
Kaliny krwią płaczą... gdzieniegdzie, jak świecznik
Zdobiący katafalk, połyska słonecznik...
Sikorki i zięby zawodzą po krzakach,
A kruce w dal ciągną w żałobnych orszakach..

- - - - - - - - - - -

Tam... wicher stos liści prowadzi za sobą....
Karawan... sierocą osnuty żałobą...
Północy dech zimny zaprzęga doń konie
Tumanne, skrzydlate... śnieg z chrapów im zionie...
Szarpnęły-i pędzą przez pola, ugory,
Gdzie grusze stanęły jak krwawe upiory,
Gdzie rżyska oczyma podciętych traw, kłosów,
W obłoki się patrzą szukając niebiosów...
Gdy lasem przechodzą schylają się drzewa..
Gałęzi grad spada, liściowa ulewa,
Mchów strzępy i wrzosów, jarzębin baldachy,
Konary się łamią i jęczą jak strachy.
Trzask.. łoskot.. znów cisza... dźwięk tylko dolata
Jak dzwonów rozbitych.... to dzięcioł kołata.
Już orszak pogrzebny daleko, na polach,
Wron stada mu kraczą na smutnych topolach.
Zatrzymał się nagle. W pajęczyn koronie
Woń niby wiosenna przeleci, przewionie,
I welon srebrzysty da zmarłej na skronie...
Co? drgnęła? Czyli to ostatnie jej tchnienie?
Ocknięcie z letargu? nadzieja? wspomnienie?
Już szeptem owiany lśni pączek rumiany
I bzowy krzew kwieciem powtórnem migoce...
O biada wam, biada! wy kwiaty sieroce!

Co wszystko ostatnią nadzieją przed skonem
Umiera z nią razem, nie zrodzi się płonem!
Zwodniczy wieniec przepadł... Pogrzebu woźnica
Rwie kwiaty i rzuca umarłej na lica
I pędzi przed siebie z nieszczęsną... Pogrzebie!
Cmentarzem jej ziemia, mogiłą – śnieżyca...

– – – – – – – – – – –

A w dali jezioro kołysze toń bladą,
Czuwając nad śpiących jaskółek gromadą,
I gra im pieśń szklaną, by śniły wiośniano,
By która z głębiny nie wyszła za rano...
Niech tylko cieplejsze roztoczą świat błyski,
Ptaszyny wylecą ze srebrnej kołyski,
Okrążą ją, wdzięczne, muskając toń z lekka
I wiosnę obwieszczą... Lecz wiosna... daleka...

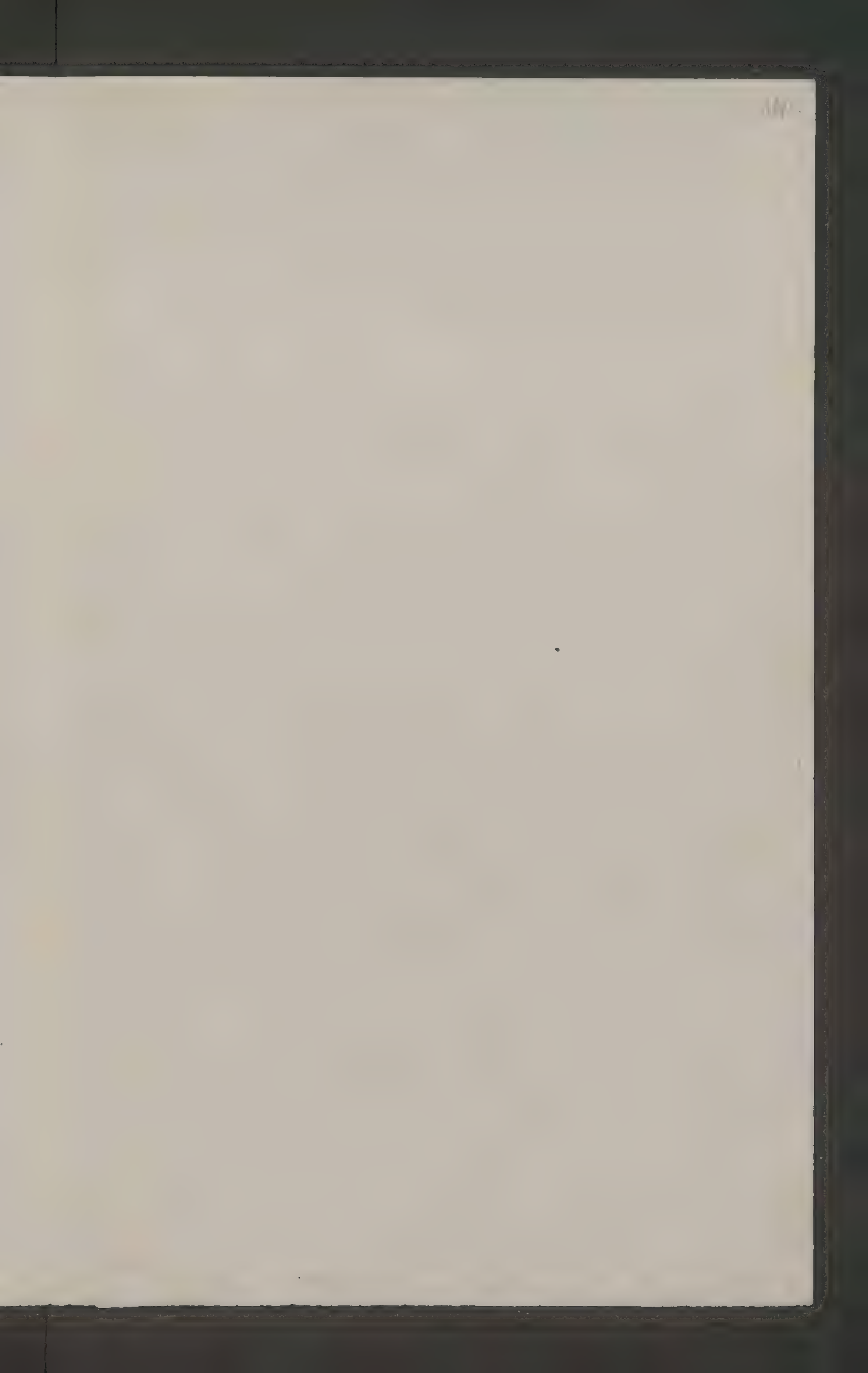
Wacław Łomian.

Z wiosennych pieśni.

Ubrana w blaski aniołów ręką,
Sławiona wszędy i w każdym czasie,
Tyś najpiękniejsza dla mnie, wiosenko,
W nieświadomości o własnej krasie.
Ani się możesz przejrzeć w krynicy -
Bo jeszcze mętna powodzią z gór;
Ani w słonecznej nieba źrenicy -
Bo jeszcze łzawo patrzy z za chmur;
Ani w powietrza cichej przestrzeni -
Bo jeszcze zefir z mgłą wodzi tan;
Ani w zroszonej łanów zieleni -
Bo jeszcze słabo zrósł się łan;
Ani w perłowym lilii dzwonie,
Bo jeszcze pączek tuli go w śnie;
Ani w zwrotkach słowika śpiewaka tonie...
Tam się nie przejrzysz wiosenko, nie!
Lecz znam zwierciadło z uroków siłą,
Coby ci wdzięki twe odsłoniło.
Gdybyś ku niemu zwróciła lica..
Nosi je w sercu śliczna dziewica..

Jednak, kto ona jest? – nie wymienię,
Bo by to dla nas było ze stratą:
Bo by cię, wiosno, jedno przejrzenie
Zmieniło w piękne lecz skwarne.... lato.

Wacł. Tomian



[illegible]

Panu Karolowi Chłopowskiemu
powierzam na pamiątkę
kilka wierszy, kreślonych z prawdziwego uczucia.

× ×

[illegible]

[illegible]
[illegible] nieb tak smutne nabłękitnione kolebki
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible] w łonie swe [illegible]
A świat co świat ślitował się nad biednymi
w jomkurskich klasztorach umierał [illegible]
[illegible] on [illegible]
[illegible] na ziemi [illegible] i dzieci
[illegible]
[illegible] i swawoli [illegible] los nią miota
[illegible] drugą go kałuża
[illegible] i równo [illegible] tak jak [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
Świat co świat [illegible] do [illegible]
[illegible]
[illegible] jak [illegible] z [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible] gdy życie w piekło się zmieniła
[illegible]
[illegible] słonko
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible] Hamleta [illegible]
[illegible]
A świat co świat [illegible]
[illegible] wybranych [illegible]
[illegible] jak świętym [illegible]
[illegible] na [illegible]
[illegible]
[illegible] w głębi swej [illegible]
[illegible]
[illegible]

Bůh viděl Polsku poníženou, zdranou,
na skráni s věncem z hloží, v bolu s ránou
v snu těžkém dlela, již jen orlů tlumy
jen větrů pějíc skládaly dumy
a vzdychy. — Tak viděl ji tak sníti,
tu chtěl jí rázem všecko nahraditi,
co trpěla i nachýlil se z výše,
na bledé čelo, jež se v bolu chvělo
a v agonii políbil ji tiše
V tom polibku na Polsky svaté čelo
všel tvořící vzruch, vzlet, krása, něha, síla,
v tom polibku Tys rázem se zrodila!

Žal trpících i vítězících sláva,
zpěv naděje i velkých vzruchů láva,
smích hrdliček ve hnízdě plném rosy,
čím člověk úpí, chvěje se a prosí,
čím jásá roven bohům ve své síle,

čím tíme na konec když dospěl cíle,
čím stoupá za hrob až do žití zdroje:
v Tvém umění se v jedno přísně pojí,
jímž teprv vzniká velký člověk celý
půl athleta a zpola básník vřelý.
V Tvém umění on vítá úsměv rána.

Ó kéžto dráhy budiž požehnána!

Jar. Vrchlický
20. IV. 1891.

Ach powiedz mi co to życie
Archaniele mój!
Jestto silne serca bicie,
Zdrowe oko, myśl wysoko,
Oręż w dłoni, kwiat na skroni,
To jest ta chwila radosna,
Bo to młodość, bo to wiosna,
Bo to marzeń rój!

Czy powiedzieć co jest piekło,
Pozwoli ci Bóg?
To jest życie co w brud ściekło,
Znak Anioła, starty z czoła,
Młodość stara, martwa wiara,
To cierpienie bez świętości
Twoje serce bez miłości
I w Ojczyźnie wróg!

Lecz cóż Niebo Archaniele
Odpowiedź mi daj!
Jestto życie w arcydziele.
Co marzone — ziszczone,
Co kochane — pozyskane,

To jest ta twoja pieszczota, –
To jest chwała, to jest cnota
Ach i wolny kraj!..

Zamknięcie Cyrku

/ Scena z początku V wieku Chrześcianistwa /.

W amfiteatrze tłum legł różnowzory:
W poczesnem miejscu, w cieniu baldachimu
Ze Stylykonem siadł Cesarz Honory,
Władca imienny, z istrym panem Rzymu.
A tłum uważnie umyślnie i okiem
Patrzy w arenę, kiedy dzikim krokiem
Wstępują rzędem nagie gladiatory.

Rzym coś posmutniał po bogów utracie:
Nad katakumbą świta jutrznia chwały,
Chrześcianizm wygrał sprawę swą w Senacie,
Forum i Kurya dawno oniemiały.
Cóż zasię robić, kiedy Rzym się nudzi?...
Dać ku rozrywce mu ofiarę z ludzi.

Póki był młody, wtedy i świat cały
Było mu nic zbyt: dziś ma inne cele,
Dzisiaj staruszek nie żąda tak wiele.
On zmordowany podbojami świata
I przeczuwając dolę feniksową,
Pragnie spokoju na swe stare lata:
On chce się bawić nie mądrować głową;

A czyż zabawka milsza mu być może,
Jak gdy wnętrzności brat bratu rozporze?
Bo nazbyt długo dla jego zabawy
Z łaski cezarów lał się potok krwawy,
Tak, że mu dzisiaj na widok areny
Oczy się iskrzą jak ślepie hijeny.

Trąby, bębny hasło dały,
Występują zapaśniki:
Io, io! gród wilczycy
Grzmi, aż cyrk się trzęsie cały.
Dwaj szermierze idą śmiele,
Wraz się rzucą, i po chwili
Jak serdeczni przyjaciele
Pierś do piersi przyłożyli,
I tak dłońmi splecionemi
Wzajem chcą się zgiąć ku ziemi.
Obu krwią nabiegły żyły,
Obu krwią nabiegły oczy;
Ale równe obu siły,
Nieruchomy bój się toczy:

Rzekłbyś patrząc w nich z oddali,
Że ci ludzie skamienieli.
Lecz z ich oczu i z ich twarzy
Widać walkę straszną, długą;
Siła siłę równoważy,
I pot wrzący kipi strugą.
Który padnie temu biada!
Puszczą ręce i odbiegą,
I znów jeden na drugiego
Z zaciśniętą pięścią wpada,
Że aż kość o kość zachrzęści
Pod żelaznych ciosem pięści.
Często razy lecą z góry....
Lud z rozkoszy aż się pieni,
Bo już, już z przeciętej skóry
Piasek cyrku krew rumieni.
Jeden wreszcie na kolano
Przyklęknął, blednie i upada;
A śmierć widząc nieubłaganą,
Malowniczo członki składa,
By w obliczu władców świata
Bez skrzywienia i bez jęku

W ślad Cezara lub Torkwata
Umrzeć, w całym śmierci wdzięku.

W tem, kiedy oni bój kończą zajadły,
Razem gdzieindziej oczy widzów padły:
Mąż siwowłosy pomarszczonej twarzy,
W której miłości cichy płomień żarzy,
Mnich, w pustelniczej zbliża się odzieży,
Staje w pośrodku krwią zlanych szermierzy,
Ręką cyrk cały przeżegnał do koła,
I do przytomnych wielkim głosem woła:
„W imię Chrystusa Zbawiciela świata
Porzućcie bracia! te sromotne sprawy.
Godziż się ludziom dla sprośnej zabawy
Na rzeź publiczną wyprawować brata?
Dziwny to widok między chrześciany
Z woli rozpusty gladiator chowany:
To grzech i zgroza w chrześciańskim sumieniu!
Tedy was błagam braterskiemi słowy:
Porzućcie owe pogańskie narowy,
Czyńcie pokutę, bo śmiercią zginiecie.
Wróg na was idzie: więc nie kuście Pana,

Bo krwią się jedno zmywa krew rozlana;
A straszną będzie tym sądu godzina,
Przeciwko którym stają grzéch Kaina.
Jakoż myślicie? lud srodze się żali,
Gdy mu kto posąg na ziemię obali;
Alež, zaprawdę, czém ten posąg? - niczém,
Trom bóstw fałszywych kamiennem obliczem;
A człowiek, który jako w duszy święty,
Ma być obrazem prawdziwego Boga,
W rodzonym bracie napotyka wroga,
Który z dzikiemi równa go zwierzęty,
I dla igraszki krew mu toczy z serca.
Jednaki grzesznik - świadek czy morderca.
Obywatele!.. mnich wam przypomina
Błogosławione prawo Konstantyna:
Zamknijcie cyrki, nie czekajcie pory,
Gdy sam Bóg na was naśle gladiatory,
Których ramienia moc wasza nie wstrzyma;
Gdy zdziwionemi ujrzycie oczyma
Przy błysku gromów zewsząd łuny krwawe,
Co wzrok wasz olśnią, i przerwą zabawę;"

Przestał i postać schyliła się drżąca.
Przez chwilę jeszcze słuchacze milczeli,
Lecz wnet cyrk ryknął i z piersi tysiąca
Okrzyk się wyrwał jak z jednej gardzieli:
– „Ukamienować!“ i tysiączne dłonie
Gradem kamieni sypną w starca skronie,
Tak, iż niebawem kamienna mogiła
W środku areny ciało jego skryła.
Jeszcze na zwłoki lud pędził jak wściekły,
W tém wstał Stylikon i skinieniem ręki
Pogroził tłumom, i tłumy uciekły
Jak niedoperze przed światłem jutrzenki,
A stary Wandal rzekł cichemi słowy:
„O podły ludu, krwiożądne półtrupie,
Co wieńcem zdobisz potworne i głupie,
A mędrców święte kamienujesz głowy!
Jam chciał do życia przyprowadzić ciebie,
Dźwignąć i soki zasilić świeżemi,
Lecz któż się zdoła ocalić na ziemi,
Gdy snadź twą zgubę Bóg zapisał w niebie.
Próżno nam to zwalczać moc Jego wyroków!...
Gdzież ten lud zajdzie po trupach proroków?...

Na kartach pergaminu klasztorna kronika
Przekazała potomnym św. czyn pustelnika:
Miał on w górach Cylicyi Telemacha imię;
A słysząc, że na festy zanosi się w Rzymie,
Szedł z różańcem u pasa, w pokutnej oponie,
Powstrzymać od okrucieństw błędnych braci dłonie;
I stało mu się zadość. Rzym w późniejsze lata
Chodzi tylko w zapasy w wielkim cyrku świata,
Lecz chowani do igrzysk nie stają szermierze,
Odkąd duch męczennika wrót areny strzeże.

To Madame Modjeska

I would dedicate these allegories if she would deign to permit me. Since I know that the idea underlying both is the one which informs her life, and only my failure to express it can make possible that she will not understand and appreciate it.

Attar of Roses.

There is a fancy:— of a king of old
Who in his land in the Far East did dwell
'Tis but a fabled king. What I may tell
This marvel [illegible] did set the
Best over all his people [illegible]
A constant watch that was not known to fail.
And all the records of his ancient land
This king did hold keep in his own hand.
To every subject he was wont to give
For portion wherein each alone must live,
A garden fair whose only flowers were found
In roses that did bloom the whole year round.
And in his rose garden must each one spend
His whole life and when that was come to end
The spot was left all desolate and bare,

—Should not be seen a trace of rose-bloom there;
For every flower in withering died away
Completely, and no rose outlived a day;
But as they faded wondrously their place
Was filled by lovelier buds of equal grace,
And every day each new bud would unclose,
And blossom forth into a perfect rose.

Now of this rich and inexhaustless store
Each lover worked his will. There were, who wore
Their very life in ecstasy away
Gazing upon the roses day by day;
For therein lay the magic:—each fair flower
Mysterious fascination had, and power.
—For such, that when once a look was bent
Upon its beauty, with sincere intent
To see into it fully—evermore
That look might be remained; though each flower bore
The self-same aspect and yet but renew
The charm of yesterday—the vision grew
Not sated, but incessantly would dwell
With greater wonder on the tireless spell...
But there were some who never this delight
Tasted entirely; never fixed their sight
With that adoring, undivided mind

Which was required in all who wished to find
In contemplation of the beauteous flower:
The bliss which would absorb their life's every hour.
These comprehending not did never attain
The rapture possible for life to gain.
These in their garden wandering round and round
Through the same monotonous circle found,
Thereof at last were wearied. These did die
Like as the others and alike did lie
Their gardens desert now and did display
No relic of the lives that passed away;
The brief inheritance of that summer joy,
The weariness of that dull sense alloy,
Had vanished with the roses, and no breath
Lingered of either to resist their death.

But those who lived and died thus to the king
No tribute for his bounty e'er could bring;
In them the vast result of all his care. —
And yet, his kingdom be with roses most fair
Had founded. And to him was its sole worth
In this: — an exquisite perfume all on earth
Transcending which could be alone distilled
From roses he delighted in; and filled
His palace with it most rich blessed his
For treasuring this mystic perfume rare

Which he did one. And for that great king's sake
His true and loyal subjects glad would make
Their life one toil amidst their scent-gifted flowers,
And, if fulfilment of their striving hours
Repaid with but one drop of attar sweet,
In the king's love 'twas compensation meet.
But, for one drop the toilers must destroy
Innumerable roses, and no joy
Of their own beauty would the flowers yield more;
For all the energies which had before
Been free and in enjoyment wonted spent,
Must be abstracted and to one task bent;
And every flower that rose to wings of light –
Be sacrificed ere it had brought delight.
And O! the saddest yet remains to tell:
Not all had skill, and few could use it well.
Before the needful knowledge they might gain,
Thousands of roses must be crushed in vain.
Alas! the weary hours – labours lost!
The end achieved, ah! at what painful cost!
And oft too oft the effort of a life
Spent at the close scarce triumph in its strife,
And many an anxious life, of joy bereft
Has but one little faint, faint scent-drop left.

And these lives too must utterly at last –

Pass away as those other lives had passed.
And all the gardens have the self-same fate
All are in bloom and scent how desolate,
The roses that were to their fair possessors
That make their owners every moment blest,
And those which never were enjoyed (which are
being rendered up like to that gift unknown)
Are gone: — no roses and no lilies remain.
[illegible] [illegible] pleasure and [illegible] sin.
... o [illegible] the [illegible] but it is not all told
[illegible] the King his [illegible]
Open to add to that rich store within
Which to his purpose did those subjects win
Who patient did their lives of sorrow spend
In the attainment of that [illegible] end
For which the everlasting [illegible] chose
Each tiller, and each garden, and each rose
And entices [illegible] increasing [illegible]
As more and more his priceless urns did fill
With the essence of those precious lives, and sure
[illegible] those [illegible] must endure
[illegible] the King yet guards with tender care
His treasure — — for eternal is that fragrance rare

This fancy is a parable indeed —
I wonder, is its meaning hard to read?

>> →

To Jatto.

A Sculptor left the world and hid himself
In the darksome stillness of a lonely cave;
Because whatever patience he could steal
From the distraction of out-thronging life,
Whatever constancy, whatever strength
In his capacity were — could only be
Of readiness to the endowment of his nerve
In striving with the chisel. For all else
His heart his brain his soul, were destitute.
He had in fancy a conception pure
To whose embodiment all his years were strained;
And many a tentative, with labour dire
Attained, of the achievement falling short
Was wearyingly rejected. Still his aim
Perpetual and persistent lived in him
And animated all his fragment work,
Which nearer grew, with each development,
Nearer and nearer to the standard form
By his spirit inexecutive devised.
To supplement all yet presentments known
To feasible materiality
Ever before his sight remained the block
Experimental where from day to day
He carved fresh lineaments — restored or
changed

By chance or inspiration sudden rash,
Marred modified or perfected some curve
Or indentation. — Always that same stone;
He could not disenchain his will from it
Could not divest it of its thralling power
Of fascination. Other marbles lay
Around him, ready for incessant use,
Inviting to new trial. But the thought
That in the one outward form had shaped itself
With more and more distinctness, growing yet
As that one form its impress had received
In subtlest variation of its mood,
Had all inseverable conjoined itself
With that identity, the one became
Like necessary as invincible —
Given self of the other's very potency!
He could not take new clay, and mould anew,
He could not cleave new marble in the hope
Of forcing from it more conformity
To his ideal. To his superstitious awe
And love of his creation, that had seemed
Like to a shattering of the elements
Of his divinity in its idea.
And so, with tremulous or with furious strokes
Obliterating oft, annulling oft,
The effect wrought heretofore, he strove and strove

- Lol: in what anguish of bewilderment,
What slow inertness of despondency,
What desperateness or incapacity —
In what dissatisfaction, what revolt
Of the o'erstretched intensity — to win
Expression for his Secret! In the work
Abandoned to absorption, while its charm
Held o'er him absolute dominion,
Even, assured, denied not nor disturbed,
He felt no outward want: he only asked
For time and leisure to work out his work
Free from disdain of life and scorn of men.
Moved by that impulse irresistible
He felt no other eagerness and knew
No other possible source of hope, or joy,
Of love or wish, of earnest or of dream.
—! But not one equal state of rapture blest
Was his: no! that had been too much reward
For his desertion of earth's duties left
By him who could not bear them, would not take
The need of their avoidal, in the world
Allotted by the doom of broken life
And thwarted schemes! For punishment, he had
His intermittent fits of restlessness,

His hopeless inanition: though apart
seem interference by the common cares
Of worldly disappointment or defeat.
Failure of purpose threatened him too oft:
Impossibility to render clear
In form his long conception, perfectness
In the ideal prisoned, seeming bound
Too fast for loosening by the arduous use
Of frantic human speech importunate
Labouring to bring it forth and give to light
Its declaration impermutable!
Cruellest was the doubt in his own powers
Which made him wonder if he had done well
To put himself aside, give himself up
To this one mission — if it were in vain!
— If never from the frenzy of his toil
Aught should be realised; or that which were
There inapproximate to utterance
Of the master-thought by weakness thus betrayed
Were travestied by him incompetent,
Unworthy of his self-arrogated task.
Sometimes the lethargy of such despair
Feebled his hand: Sometimes the appalling thought
Of this humiliating horror drained
His fancy of its fire. For many days
He would be listless and not touch his work,

Believing ~~that~~ its inspiration quite
Had gone from him; that all which he had done
Was worthless - in its incompleteness left -
A mockery of the half-expressed idea
Whose remaining whole might be impossible
To force into expression. Then it seemed
Naught was there more for him but to relapse
Into passivity, to relinquish strife
Succumb to death, and leave the work undone.
Yet even in such a stupor - in the midst
Of such irresolution - swift a thought
Would flow in him and there assert itself
Compelling manifestation. On the eyes
Wearily gazing - as half magnetised,
Still on that form they kept their wonted gaze
Lifted moveless - an unconscious flash
Would glisten, and the instinct of desire
Incite him to fresh work - addition mere
Of detail to it - whereat the old force
Returned in its powerfulness; once more
The ideal brief forsaken, all in all
Became the deadened passion rapid anew,
The abstraction seemed all his vitality;
The fervour animated him; the stir
Of every motion in him seemed to cool. . .
But life hath term; he never saw the ~~that~~ end

He could not measure, limit, definite
To his attempt progressive to be set:
And how if death should break an interval
In its successive stages? Never since
To be resumed? – What were there then, but wreck
Instead of monument! What were there left
Of that profusion never utilised!
What gain to men should ever pass from it?
Into what sympathy should ever be
Received its message? Or what thought should e'er
Hold its intended function to [illegible],
And carry it farther out into idea?
– Such questions could not come into account,
They might not [illegible] the first impulses
To [illegible] of the genius while its strong
Lies dominant. – And yet –

The artist died
In fact... Perhaps that which the moment off
Was yet unfinished or perhaps to stay
In perfect [illegible] fashioned to [illegible],
Still unrevealed [illegible] until come to
A man shall find it, and believe in it
– And then – – it may be seen.

The work [illegible]!

Each life hath its [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

Some Sculpture — either finished, or begun,
Result of secret travail in spirit depths;
And either it is brought to light, some day,
And the world has it, and its guardian art
Keeps it amongst its stores so to make
Model for many — else, being never known
It rots and moulders — — —
But the work is done.

H. T. P.

Bajka

„O świni i o chłopie".

Opowiedział Jan Sabała,
zapisał B. D. –

„Kie pán Bóg życie ozdawał ludziom i wsytkiemu stworzeniu, to kciáł świni, przepytujem, dać nádługse życie. Świnia przysła i dziękuje ze ona nie stoi o długie życie, ba kce krótkie a dobre. – Pan Bóg sie ji nie sprociwił – a wzion i dáł to długie życie chłopu – i chłop do dziśka to świńskie życie dożywa, co go świnia nie kciáła, ino choćkie na starość, kie robić nie może – a biéda go bije, to tyj świni zawidzi, ze krótkie życie ma, ba nie takie twarde jako jego". ——

9144

III